

dziewczynę, że chce ją zachować dla siebie i wzbroni ci przystępu do niej na przyszłość!

— Oh! Gdybym był tego pewny! — zawołał Jerzy z wybuchem gniewu i energii.

— Cóżbyś uczynił?

— Niel nie! Pan się myli, panie Leduc! Ten człowiek nie ośmieliłby się przeciw.

— Chcesz się przekonać?

— W jaki sposób?

— Chcesz zbadać sam, że nie powiedziałem ci nic fałszywego!

— Oh! Panie Leduc! Jakże to urzeczywistnić? — zawołał Jerzy, składając błagalnie ręce.

— A więc chodź ze mną!

— Gdzie mnie pan chce zaprowadzić?

— Do Saint Mandé, do pani Bourgeois. Z ust jej usłyszysz wkrótce potwierdzenie mojego przypuszczenia.

Po chwili Jerzy i stary archiwista wsiadali do dorożki i kazali się wieźć do Saint Mandé. Jerzy, rozgorączkowany i niespokojny, tak przynaglał dorożkarza, że po upływie pół godziny znaleźli się przed pensjonatem pani Bourgeois. Pierwszy zeskokczył z powozu i zapytał o właścicielkę zakładu.

Wprowadzono ich do salonu, gdzie wkrótce pani Bourgeois wyszła na ich spotkanie.

— Proszę pani — wyrzekł stary archiwista, przystępując zaraz do rzeczy — Jest w zakładzie pani młoda dziewczyna, z którą mówić pragnę.

— Ależ, pani! — zaprotestowała dyrektorka, zdziwiona tem żądaniem.

— Niech pani będzie spokojna, nie wymagam nic nadzwyczajnego, zresztą ta rozmowa odbędzie się w obecności pani.

— Któraż jest ta panienska?

— Panna Gilberta.

— Nie wiem czy byłabym w możności zadośćuczynić życzeniu pana — odparła żywo pani Bourgeois — bo reguła naszego zakładu nie pozwala na rozmowy z naszymi wychowankami, o ile osoby żądające jej nie należą do najbliższej rodziny, ale w tym wypadku zaiscicie, które tu miało miejsce wczoraj, ułatwia mi odmowę.

— Jakie zaiscicie? — zapytał Cypryan Leduc.

— Panna Gilberta nie jest już u mnie.

— Wyjechała? — zawołał Jerzy zdumiony.

— Tak jest, wyjechała dziś rano!

— I gdzie się udała?

— Tego nie wiem.

— Ale przecież ktoś musiał ją odebrać z zakładu pani? — zapytał stary archiwista.

— Odebrała ją osoba, która powierzyła Gilbertę mojej opiece i jedynie miała ją prawo odebrać.

— Nie nalegam więcej — odparł Cypryan Leduc, kłaniając się — i dziękuję pani za te informacje. Chodź, Jerzy. — dodał, zwracając się do młodego człowieka, który osłupiały stał na środku salonu — Nie mamy tu nic więcej do czynienia.

I ukloniwszy się raz jeszcze zdziwionej dyrektorce zakładu, Leduc pociągnął Jerzego za rękę i wyszedł.

Jerzy był tak przybity odebraną wiadomością, że opadł bezsilnie na poduszki powozu, wstrząsany nerwowym dreszczem.

— Odwagi! Odwagi, mój kochany! — uspakajał go Leduc — Cóż u diabła jeszcze niema nic strasznego!

— Nie zobaczę jej już więcej! — wyszeptał z trudem Jerzy.

— Co znowu! Zobaczysz ją! Tylko nie upadaj tak na duchu. Musisz się zahartować do walki, bo przeczuwam, że czekają nas poważne przeszkody do przełamania.

Kiedy po godzinie powrócili do domu, Jerzy, pomimo swojego zmartwienia, czuł się już silniejszym.

W bramie spotkali dozorcę domu, który wręczył panu Leduc dwa listy. Jeden z nich adresowany był do Jerzego.

— Od kogo ten list być może? — mruknął stary archiwista, rozrywając kopertę.

Po przeczytaniu pierwszych wierszy wyraz zdumienia pokrył jego twarz.

Było to zaproszenie pochodzące od pułkownika Robert, na pierwszy wieczór, wydany przez niego w nadchodzącą sobotę.

— Co to ma znaczyć? — wyrzekł Cypryan Leduc — A któż to do ciebie pisze, Jerzy?

— Niech się pan sam przekona — odpowiedział młody człowiek, podając mu swój list.

Było to również zaproszenie, zredagowane w tych samych słowach.

— Hm! hm! — krząknął znacząco stary archiwista. — Ta rzecz wymaga koniecznie wyjaśnienia.

— Czy pan zna tego pułkownika Robert?

— Widziałem go raz tylko.

— I uda się pan na ten wieczór?

— To jest inna rzecz, mój kochany. Trzeba być uprzejmym dla każdego i nie zaniedbywać żadnej sposobności poznania nowych ludzi. Zresztą mamy jeszcze kilka dni do namysłu.

Rozmawiając w ten sposób, weszli do mieszkania, gdzie Leduc zajął się zaraz przygotowaniem do śniadania.

— Jestem dyabelnie głodny! — oznajmił wesoło — Ten przymusowy spacer zaostriżył mi apetyt.

Ale w chwili, kiedy mieli zasiąść do stołu, zadzwieczył dzwonek w przedpokoju.

— Oh! Klient jakiś — zawołał Cypryan Leduc — Mógł się wybrać w lepszą porę.

Kobieta, posługująca im, poszła otworzyć i Leduc słyszał, jak rozmawiała z nowoprzybyłym i wprowadzała go do gabinetu.

— Kto to jest? — zapytał, kiedy posługaczka powróciła do jadalni.

— Jakiś pan, którego nie znam — odpowiedział.

— Czego żąda?

— Chce z panem mówić.

— Ano trudno, iść do niego muszę, interesa przedewszystkiem.

Powstał mruczając i udał się do drugiego pokoju.

Ale zaledwie drzwi otworzył, stanął zdumiony na progu.

W gabinecie oczekiwał na niego Buvard, agent, z którym zapoznał się w czasie swojej bytności w Saint-Nicolas.

## XI.

Kiedy pierwsze wrażenie zdziwienia minęło, Cypryan Leduc podszedł żywo do agenta.

— Nie myślę się — rzekł — To pan Buvard, nieprawdaż?

— Tak jest — odparł agent z uśmiechem. — Nie spodziewał się pan moich odwiedzin.

— Zapewnie.

— Kilka miesięcy temu zaszła pomiędzy nami rozmowa bardzo interesująca, przypomina ją pan sobie zapewne.

— Oczywiście.

— Miała ona za temat okropne morderstwa, popełnione przez nieodkrytego dotąd mordercę. Podjął się pan wówczas wyjaśnić policyi motyw tych zbrodni, jak również odkryć nazwisko zbrodniarza. Pan nie zapomniał o tem, panie Leduc?

— Bynajmniej.

— A więc. Zwłoka, wydana panu przez policyę, upływa już i przychodzić dowiedzieć się.

— Jest pan punktualny... nadzwyczajnie punktualny, panie Buvard. Tylko...

— Czy pan nie jest jeszcze w możności udzielenia nam tych informacji?

Stary archiwista uśmiechnął się lekko.

— To zależy — odparł po chwili. — Zaobserwowałem wiele od tego czasu; podróżowałem, badałem i jeżeli nie osiągnąłem jeszcze zupełnie zamierzonego celu, to mam przynajmniej głęboką nadzieję, opartą na bardzo silnych podstawach.

— Doprawdy, niechże mi pan to opowie.

Cypryan Leduc objął agenta badawczem spojrzeniem.

— Dobrze — odrzekł — ale niech pan nie sądzi, że wypowiem tak zaraz wszystko, co wiem. Są pewne rzeczy, które panu wyjaśnię, ale są inne, których nie mam wcale zamiaru zwierzyć panu.

— Muszę przyjąć warunki pana — odparł Buvard — przyszedłem przecież po to, aby się czegoś dowiedzieć.

— A więc przedewszystkiem oznajmiam panu, że doszedłem do przekonania, że sprawcą tych dwóch, tak identycznie do siebie podobnych morderstw, jest jeden i ten sam człowiek. Powodowany zaś był tylko jedynym celem — usunięcia wszystkich, należących do rodziny Bonnet d'Esclairs, pochodzących z Saint-Nicolas. Główny przedstawiciel tej rodziny pojechał niegdyś do Indyi, gdzie zebrał podobno kolosalny majątek. Czy wiedział pan o tem?

— Wiedziałem.

— Sprawca tych zbrodni znał tę okoliczność i starał się zapobiedz, aby nikt z rodziny Bonnet nie mógł odziedziczyć tego majątku, zachowując go widocznie dla siebie w razie, gdyby tamten Bonnet z Indyi zmarł.

— Widzę, że pan nie tracił czasu na próżno —

przyznał Buvard — bo i my z naszej strony odkryliśmy zupełnie to samo.

— I cóżście panowie uczynili? — zapytał z zainteresowaniem stary archiwista.

— Nic jeszcze dotąd, bo uznaliśmy za stosowne przed rozpoczęciem ostatecznych poszukiwań upewnić się, że ten Bonnet z Indyi umarł rzeczywiście i że sukcesja po nim jest do podjęcia. Będzie to zapewne chwila decydująca i bardzo ciekawa, kiedy niespodziewanie sukcesor zjawi się po odbiór majątku.

— Czy sądzi pan, że to będzie morderca?

— Niekoniecznie. Jeżeli jest ostrożny, to postawi jakąś pewną osobę, najprawdopodobniej współnika.

Cypryan Leduc przytaknął ruchem głowy.

— Ma pan słuszość — odrzekł. — Podziwiam muszę zręczność i przenikliwość, z jaką pan poprowadził tę sprawę. Czy jednak jest to wszystko, co pan wie w tym kierunku?

Agent zawahał się.

— A pan wie coś więcej jeszcze? — zapytał ze swojej strony, patrząc ciekawie na starego archiwistę.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie — odparł tenże zimno. — W ten sposób nie dojdziemy nigdy do porozumienia. No, panie Buvard, zapytuję pana raz jeszcze: Czy wie pan coś więcej?

— Niel — odpowiedział agent.

— A więc dodam coś jeszcze do informacji, zebranych przez pana — uśmiechnął się Leduc.

— Cóż takiego?

— Szczegół jeden! Czy macie wiadomość jaką o tym Bonnet, milionerze?

— Oczekujemy jej z dnia na dzień z ministeryum i mamy nadzieję, że zostaniemy objaśnieni w tym kierunku.

— Więc ta wiadomość, a właściwie depesza, nie nadeszła jeszcze.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego?

— No, panie Leduc, byłby pan bardzo zręcznym, gdyby mi to pan mógł wytłumaczyć.

— Nie jestem tak zręcznym, jak się panu zdaje, ale mogę jednak poinformować pana, że oczekiwana odpowiedź była na czas wysłana z Bombay, czy Kalkuty, że przybyła do Marsylii i że worek, zawierający depeszę, został naruszony, a akt, świadczący o śmierci Bonnet z Indyi, ukradziony.

Buvard nie mógł stłumić okrzyku zdumienia.

— Depesza! Akt skradziony w Marsylii! — wymówił z trudem. — Ale któż pana o tem powiadomił?

— Znajdowałem się wówczas w Marsylii — odparł spokojnie stary archiwista.

— Pan!

— Tak! I widziałem wszystko!

— Ale winny? Kto on jest? Zna go pan może? Ah! Gdyby to był...

— Nie znam go jeszcze — odparł Cypryan Leduc, potrząsając głową — ale to się stanie wkrótce, zaręczam panu. W każdym razie, zdaje mi się, że nadchodzi obecnie stanowcza chwila, i musimy wyteżyć całą swoją uwagę i przebiegłość, aby żaden fakt najdrobniejszy nie uszedł nam teraz. Nieprawdaż, panie Buvard — dodał stary archiwista, zwracając się twarzą do agenta — że podziela pan również moje zdanie?

Ale Buvard nie zwracał już uwagi na jego słowa. Dostrzegł był list z zaproszeniem, który Leduc otrzymał przed chwilą i nie odwracał od niego spojrzenia.

— Co panu jest, panie Buvard? — zapytał stary archiwista, zaintrygowany jego zachowaniem.

— Więc pan zna pułkownika Roberta? — szepnął agent ze zdumieniem.

— Zna się tyle ludzi!

— Ależ on jest w Paryżu dopiero od kilku dni!

— Przybyliśmy tutaj razem.

— Pociągiem z Marsylii?

— Tak jest, pociągiem z Marsylii.

— I on zaprasza pana na wieczory, które wydaje u siebie? — zapytał z wzrastającym zdumieniem agent.

— Jak pan widzi.

Buvard pochylił się nisko ku archiwistę, jak gdyby w obawie, aby kto nie dosłyszał jego słów.

— Pójdzie pan do niego? — wyrzekł zniżonym głosem.

— Prawdopodobnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)